

CYPEL



Animacja

(od łac. anima: dusza i animo: ożywiam):

„tchnąć duszę”, ożywić, wprowadzić w ruch. Animacja kultury to doprowadzenie do spotkania (człowieka z człowiekiem; wrażliwości z inną wrażliwością, potrzeby z chęcią jej realizacji). To działania, które poprzez kulturę i sztukę wpływają na jakość życia społecznego. Działania te nie są nastawione na podnoszenie umiejętności technicznych (nie chodzi o to, żeby lepiej śpiewać, czy malować lepsze obrazy). Praca animacyjna nastawiona jest na proces, nie na rezultat. Jeśli zebrane podczas tego procesu doświadczenia i inspiracje będą na tyle silne, że zachęcą kogoś do działania, poszukiwania własnej ścieżki – to animowanie było skuteczne.

zebrała: P.C.

Linki:

www.ngo.pl
www.e.org.pl
www.1944.pl
www.wajdaschool.pl
www.filantropia.org.pl
www.ceo.org.pl
www.youth.org.pl
www.dolinal kreatywna.tvp.pl
<http://chlodna25.blog.pl/>
www.otoja.art.pl
<http://pewnahistoria.com/>
www.pogranicze.sejny.pl
www.stacjaszamocin.pl
www.krzaki.info
www.festiwalasingera.pl
www.greluk.siedlce.net.pl

CYPEL

dodatek alternatywny

CZERWIEC 2008

Animator

– kto to taki?

Spisała: **Paulina Capała**

Marta Białek [ę]:

Dla mnie animator kultury, to ktoś taki, kto sprawia, że ludzie się spotykają, że z tego spotkania wynika coś więcej. To ktoś, kto łączy potencjały. Dzięki niemu ludzie z zupełnie odmiennych światów odnajdują w sobie chęć, żeby coś wspólnie zrobić, wspólnie coś przeżyć, czegoś doświadczyć. Animator stwarza przestrzeń, wytwarza sytuację, w której do takiego spotkania może dojść. To nie jest jednorazowe spotkanie, tylko działanie nastawione na proces. Chodzi o to, żeby uruchomić w kimś chęć działania dla siebie i innych.

Beata Jaszcak [Farbiarnia]:

To według mnie ktoś, kto uważnie patrzy wokół siebie i w swoich działaniach reaguje na otaczający świat, na jego ciągle nowe wyzwania.

Piotr Stasik [ę]:

Nie wiem... ja się nie czuję animatorem kultury. Może jestem animatorem kultury, ale nie czuję się nim. Po prostu spotykam człowieka i przyglądam mu się, zastanawiając się co mu jest potrzebne. Jeśli mogę, to pomagam mu to osiągnąć. Czy to się nazywa animacja kultury, praca u podstaw, czy jakkolwiek, to już nie jest ważne. Nie zastanawiam się nad tym. Nie definiuję tego.

Inga Pytko – Sobutka [Projektoriat]:

Sama się kiedyś nad tym zastanawiałam. W którymś momencie zaczęli tak o mnie mówić i zostałam nominowana animatorką... A ja po prostu pomagam innym działać i rozwijać się. Bawię się, pracuję, denerwuję, wymyślam, rozmawiam, słucham, aranżuję, telefonuję. Piszę wnioski, koordynuję... widocznie tak zachowuje się animator kultury [śmiech].

25 czerwca 2008,
o godzinie 20.00
zapraszamy na

Dźwiękowy Cypel
w **Radiu Kampus**
(w Warszawie: 97,1 fm)

w internecie:
www.radiokampus.waw.pl

na platformie „n”:
nRadio kanał 133

2 razy ę

ę _ odstona pierwsza

Na stronach 153-159 fotoreportaż Krzysztofa Pacholaka
z warsztatów fotograficznych w Borach Tucholskich, TIT ę, luty 2008

Rozmowa z Martą

Bohaterka: Marta Białek (ur. 1978)

Członek Zarządu Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „ę”, współzałożycielka Stowarzyszenia. Socjolog i dziennikarka; absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego i Laboratorium Reportażu Collegium Civitas. Autorka projektów społecznych i książek poświęconych animacji kultury i działaniom społecznym, m. in.: „Inspiracja – Aktywacja”, „Notes Europa”, „Dla – animacja kultury: metody/działania/inspiracje”, „Raport o sytuacji małych dzieci w Polsce: dobre praktyki”. Prowadzi warsztaty fotograficzne, kreatywnego pisania oraz szkolenia z zakresu tworzenia i zarządzania projektami społecznymi.

Współpracuje z kilkoma organizacjami społecznymi doradzając w zakresie promocji działań społecznych. Lubi pisać, czytać i odpoczywać nad polskim morzem.

Czas i miejsce akcji:

*Popołudniowa cisza w kawiarni
Numery Litery w Warszawie*



foto. Marta Białek-Graczyk

Animatorką się zostaje czy rodzi?

Trochę tak, trochę tak [śmiech]. Od dziecka byłam małą animatorką kultury, takim społecznikiem – bo tak to się kiedyś nazywało. Zawsze bliskie mi były działania społeczne, myślę, że w dużej mierze przez moją mamę. Byłam przewodniczącą samorządów klasowych, wstawiałam się za innymi. To mi sprawiało frajdę. U mnie w domu to było bardzo naturalne. Wiedziałam, co to są stowarzyszenia, jaka jest ich formuła. Rozumiałam, że ludzie

spotykają się, żeby coś wspólnie zrobić. Poza tym, jako młoda dziewczyna miałam mnóstwo zainteresowań, przy niczym jednak dłużej nie pozostałam. Pociągał mnie film, teatr, fotografia, ceramika... Jako nastolatka wszystkiego chciałam spróbować, czułam, że to mnie rozwija.

W pewnym momencie zaangażowałam się w działania warszawskiego Klubu Filmowego Sawa. Robiłam filmy amatorskie, dziś mówi się o nich – offowe. Jedna z moich etiud trafiła na War-

szawski Przegląd Filmów Amatorskich organizowany przez Stowarzyszenie Pro Varsoviae. W tym stowarzyszeniu działał Piotrek Stasik. Tam właśnie go poznałam. Filmowanie znudziło mi się, ale chęć do tworzenia i współpracowania z innymi pozostała. Podczas studiów poznałam ludzi, którzy myśleli podobnie i w którymś momencie postanowiliśmy się jakoś zorganizować. Dłatego powstało „ę”.

Pierwsze projekty Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „ę” realizowaliście na wsiach i w małych

miejsowościach. Co skłoniło Cię, żeby wyjechać poza Warszawę i spróbować swoich sił w zupełnie nowym środowisku?

Małe miejscowości pociągały mnie od zawsze. Przez pierwsze lata swojego życia mieszkałam w Pruszkowie pod Warszawą, później w Grodzisku. Mam takie mikrowspomnienia z dzieciństwa, uczucie bliskości, lokalności; namacalności małego świata. Świata, który wydaje się, można jakoś objąć myślą. Wiem, że to jest obraz wyide-



alizowany, ale miałam wrażenie, że w małych miejscowościach istnieje silna wspólnota, wszyscy się znają, wspierają. Oczywiście to utopia, ale właśnie taki obraz wytworzyłam sobie w głowie.

Współpracując między innymi ze Stowarzyszeniem Pro Varsoviae, czy Akademią Rozwoju Filantropii w Polsce poznawałam wiele nowych miejsc i ludzi. Obserwując życie poza wielkimi miastami miałam wrażenie, że wszystko jest intensywniejsze, że ludzie bardziej przeżywają nowe doświadczenia. Pamiętam, jak do Tarnowa przyjechał Tadeusz Sobolewski. Grupa filmowa, która brała udział w spotkaniu, żyła tym wydarzeniem jeszcze długo po naszym wyjeździe. Zobaczyłam, że ludzie potrafią się cieszyć drobnymi

rzeczami, są mniej rozproszeni niż w Warszawie.

Poza tym, co było dla mnie szczególnie ważne, przez pierwsze lata pracy w „e” – w tych małych miejscowościach od razu było widać efekty naszych działań. Jeśli zrobiliśmy coś dobrze wracało do nas coś pozytywnego, jeśli popełniliśmy błąd, wykonaliśmy niewłaściwe zagranie od razu czuliśmy, że robimy źle, że zmieniamy coś na siłę.

Możesz podać jakiś przykład?

Podczas realizacji naszego pierwszego projektu – „Ballady o Szydłowcu” zorganizowaliśmy warsz-

Marty Białek-Graczyk pomysł na ćwiczenie fotograficzne:

Aparat fotograficzny jest magicznym narzędziem, które pozwala dzieciom i młodym ludziom opowiadać o świecie, w którym żyją. Aparat pozwala zatrzymać się, skupić uwagę, zastanowić się nad sfotografowanym obrazem.

„Szuflada i...” to działanie, w którym zachęcamy dzieci do szukania starych zdjęć z ich wsi. Później robimy zdjęcia w tych samych miejscach, ale dzisiaj. Zestawiamy je i tworzymy wystawę, która staje się okazją do przyjrzenia się, jak wyglądała nasza wieś 10, 20, 50 i 100 lat temu.

taty, na które zapisało się 700 osób. To było kompletne szaleństwo! Już na drugie warsztaty przyszło tylko 20 osób, a na trzecie nie przyszedł nikt. Zrozumieliśmy, że gdzieś popełniliśmy błąd, że nie potrafiliśmy



foto: Krzysztof Pacholak

podtrzymać uwagi, że być może źle zaplanowaliśmy moment naszego przyjazdu. Zrobiliśmy warsztaty w niedzielę około południa, bo nie pomyśleliśmy, że w Szydłowcu w tym czasie wszyscy jedzą obiad... Przecież w Warszawie nie jest tak, że je się obiad o jednej porze. Małe środowisko pozwala szybko zweryfikować, czy robisz coś dobrze, czy nie. Jestem osobą, która lubi szybko widzieć efekty, możliwie szybko, oczywiście.

Na początku Waszych działań sami jeździliście po całej Polsce i prowadziliście warsztaty filmowe, fotograficzne, teatralne... Po jakimś czasie to się zmieniło i zaczęliście szukać ludzi, którzy przy Waszym wsparciu mogliby animować lokalnie.

To była naturalna kolej rzeczy. Odwiedzając różne miejsca w całym kraju widzieliśmy, że są młodzi ludzie pełni chęci i pasji. Wymyślił się projekt

Młodzi Menedżerowie Kultury, który polegał na tym, że zapraszaliśmy takich ludzi do Warszawy. Dawaliśmy im podstawowe narzędzia do pracy, spotykaliśmy z ludźmi, którzy mają duże doświadczenie w realizowaniu podobnych projektów. Chcieliśmy ich ośmielić, zainspirować, zachęcić do samodzielnej pracy. Myślę zresztą, że taka jest idea naszego stowarzyszenia. Pobudzamy do działania, nie wyręczamy, wspieramy jednocześnie ucząc samodzielności.

W tej chwili „ę” realizuje projekty skierowane także do dorosłych liderów społeczności lokalnych, jak na przykład w programie „Dla Tolerancji. To co wspólne/ to co różne”. Niedawno zaangażowało się w projekt seniorski, skierowany do osób 55+...

Pierwsze lata to była taka praca u podstaw. Wiem, że to śmiesznie brzmi, ale właśnie tak było. Jeździli-

śmy w różne miejsca budując coś zupełnie od podstaw. Tak było w przypadku Balady o Szydłowcu i projektu aby- film, fotografia na wsi. Dawaliśmy z siebie wszystko licząc przede wszystkim na to, żeby po naszych wizytach w tych miejscowościach coś zostało – żeby to nie była jednorazowa akcja.

Potem okazało się, że nasze metody rzeczywiście się sprawdzają i inni ludzie zaczęli pytać nas, jak to się dzieje.

Prosimi o wskazówki i pomoc, zgłaszając jednocześnie, że chcieliby sami zaanimować społecznie. Zaczęliśmy organizować szkolenia i warsztaty, żeby pokazywać w jaki sposób pracowaliśmy. Stworzyliśmy model, własny sposób na animowanie. Zaczęliśmy „nakręcać”.

Animujecie animatorów [śmiech]. Startujecie z warszawskim projektem „Reanimator”, który ma zintegrować miejscowych działaczy i pomóc im w wypracowaniu czegoś w rodzaju „karty dobrych praktyk”...

Wszystko, co robimy wpływa z naszych zainteresowań i reagowania na potrzeby, które dostrzegamy wokół siebie. Od działania, uczenia, po dzielenie się swoim doświadczeniem z innymi. W naszej pracy, co jakiś czas staramy się iść o krok dalej. Reanimator dopiero startuje, nie wiem jeszcze czy dobrze to sobie wymyślił, czy



uda nam się osiągnąć to, co zaplanowaliśmy. . . Razem z Martą Wójcicką z ArtAnimacji i Grzegorzem Lewandowskim z Chłodnej 25 wcielamy ten zamysł w życie.

Próbuje lobbywać na rzecz naszych pomysłów i mówiąc w wielkim skrócie musimy ze swoim przesłaniem docierać do polityków, to raz. Dwa, chcemy zintegrować ludzi, którzy zajmują się podobnymi rzeczami. Wydaje nam się, że jako grupa ludzi blisko ze sobą współpracujących mamy większą szansę coś osiągnąć, czasami wręcz wywalczyć. Może Warszawa niewystarczająco docenia animatorów kultury? Może o nich nie wie? Nie szuka na ich te-

mat informacji. Reanimator to próba podjęcia dialogu. Podobnie rzecz ma się, jeśli chodzi o działania strażnicze – będziemy monitorować domy kultury na Mazowszu. Pokazywać, co dzieje się dobrego, a co nie do końca się udaje i jak można to zmienić.

W związku z tą próbą podjęcia dialogu pojawiła się też koncepcja stworzenia przestrzeni do działań dla lokalnych środowisk. Taką przestrzeń nazywasz animatornią. Opowiedz o niej coś więcej.

Bardzo byśmy chcieli, żeby w Warszawie powstało takie miejsce – nazywane przez nas animatornią,

w którym ludzie będą mogli realizować swoje pomysły. Miejsce, które pozwalałoby na kreowanie lokalnej rzeczywistości. Przestrzeń, w której odnajdą się dzieci, młodzież, dorośli i seniorzy. Animatornia to nie dom kultury, w którym osoby korzystające z jego oferty nastawione są raczej na odbiór – że np. coś się maluje i po prostu stamtąd wychodzi. Tylko miejsce, które uczy i pomaga dać z siebie coś innym. Myślę, że dojrzelśmy już, żeby poprowadzić takie miejsce. Mam nadzieję, że Warszawa dojrzała, żeby nam w tym pomóc. Mówiąc szczerze to jest moje wielkie marzenie.

Rozmawiała: Paulina Capała

2 razy ę ę _ odstępną druga

Rozmowa z Piotrem

Bohater: Piotr Stasik (ur. 1976)

Socjolog (absolwent Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych UW), reżyser filmów dokumentalnych (absolwent Mistrzowskiej Szkoły Reżyserii Andrzeja Wajdy), prezes Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „ę”. Od 1996 roku zaangażowany w pracę w organizacjach pozarządowych (m. in.: Rada Ruchu Europejskiego, Fundacja Schumana, Polska Fundacja Dzieci i Młodzieży, Instytut Adama Mickiewicza). Autor programów społecznych i szkoleniowych (m. in.: Fundacja Schumana, Narodowe Centrum Kultury, UNDP, Centrum Edukacji Obywatelskiej). Autor filmów i reportaży fotograficznych o projektach społecznych. Twórca filmów dokumentalnych, m. in. „7 razy Moskwa”, „Po kolei”. Wspólnie z Maciejem Cuske, Marcinem Sauterem i Thierryem Paladino tworzy Zespół Filmowy „Paladino”.

Czas i miejsce akcji:

Niedzielný poranek, Klubokawiarnia Chłodna 25

Młodzi Menedżerowie Kultury, to Twój pomysł. Dlaczego uważałeś, że warto taki projekt zrobić?

W „ę” znamy realia małych miejscowości, dużo tam jeździmy, albo sami z nich pochodzimy. Czujemy, czego mieszkającym w nich ludziom potrzeba. Tam często nic się nie dzieje, działa jeden pub, kino zamieniono na sklep z taną odzieżą – mówiąc o tym mam na myśli Sieradz, w którym byliśmy z naszymi działaniami. No i co tu robić? Przecież w takich miejscach są ludzie, którzy mają jakieś aspiracje – chcą spotkać ludzi podobnych do siebie, chcą tworzyć, oglądać dobre kino.

Na czym polega formuła Menedżerów?

To, co robimy, to łączenie potencjałów. Na tym polega idea naszego stowarzyszenia. Szukamy ludzi, którzy chcą coś zrobić i spotykamy ich ze sobą. Zapraszamy ich do Warszawy, dajemy im trochę pieniędzy i know how niezbędne do tego, żeby zacząć samodzielnie działać. W ten sposób powstają świetne projekty. Okazuje się, że kiedy energia tych ludzi spotyka się z naszą energią – tworzy się zupełnie nowa wartość. Wbrew zasadom arytmetyki 2+2 daje więcej niż 4 [śmiech]. Po paru latach, kie-

dy spotykamy tych ludzi, niektórzy z nich mówią, że zmieniliśmy im życie. To jest dla nas największą satysfakcją. Może nie zmieniamy rzeczywistości społecznej, ale udaje nam się pokazać niektórym nowe możliwości i nauczyć, jak je wykorzystywać.

Co jest w tym, co robicie najważniejsze?

Siedzieliśmy kiedyś i wspólnie staraliśmy się określić, co w dzia-

foto: Krzysztof Pacholaj



Piotra Stasika pomysł na ćwiczenie filmowe:

Dokumentaliści mówią, że najpiękniejszym krajobrazem na świecie jest ludzka twarz. Na tym budujemy pierwsze ćwiczenia. Zachęcamy do kontemplacji ludzkiej twarzy. Właściwie obojętne, co człowiek robi, w jaki sposób jest skupiony i tak się to ciekawie ogląda. Warto spróbować takiej czulej, czujnej i cierpliwej obserwacji.

Ćwiczenie polega na tym, że spotkanego na ulicy człowieka ustawia się przed kamerą i prosi go, żeby stał i patrzył się w obiektyw przez dwie minuty. W mikrodrganiach twarzy, jego minie, spojrzeniu widzimy cały świat. Kilka połączonych ze sobą portretów może stworzyć piękny obraz miasteczka.

Wysłuchała: Paulina Capała

łaniach naszego stowarzyszenia jest najważniejsze. Doszliśmy do wniosku, że chcemy, żeby ludzie robili to, co najlepiej potrafią i lubią robić. Niestety w Polsce często jest tak, że ludzie wykonują zawód, który nie przynosi im satysfakcji i w ten sposób męczą siebie i innych. Praca zawodowa jest ważnym elementem naszego życia i dobrze, żeby była połączona



z pasją. Myślę, że to, co robimy, to jest takie naprowadzanie ludzi – dawanie im wskazówek. Prowadzimy warsztaty filmowe nie po to, żeby wszyscy zostali filmowcami. Uczymy po prostu pewnego rodzaju wrażliwości, tego, żeby być autentycznym, że warto szukać siebie. Pokazujemy,

że aby coś osiągnąć trzeba ciężko pracować. Młodzi ludzie mają problem z wewnętrzną dyscypliną, uważają, że to, czego pragną przyjdzie do nich samo. Mają pretensje do świata, że coś się nie układa, my im pokazujemy, że tak naprawdę dużo zależy właśnie od nich.

Jak wygląda przepływ energii w drugą stronę? Co spotkali ludzie dają Tobie?

Kiedy widzę ludzi z błyskiem w oku, w których kipi autentyczna chęć do działania i dawania czegoś innym, to mam wrażenie, że jestem w innej Polsce. To jest idealizowanie, ale mam wtedy po-



foto: Krzysztof Pacholak

czucie, że to jest kraj takich nowoczesnych Siłaczek.

A ta „nieinna” Polska...

Jeżdżąc do małych miejscowości spotykamy się często z dużą niewiarą i strachem przed tym, co robimy. Na początku mieszkańcy nie wiedzą, po co to robimy. Po pół roku, czasem po roku to się zmienia. Najpierw rodzice

nie chcą wypuszczać dzieci na szkolenia, a później sami dzwonią, żeby je gdzieś zabrać.

Co robicie, żeby przezwyciężyć nieufność?

Po pierwsze, musimy się nauczyć, jak się dobrze komunikować. Wypracować sposób mówienia i bycia ze sobą. Na wsiach bardziej widoczny jest podział

na role: jesteś uczniem, ja nauczycielem. Musimy dostosować się do tych reguł.

Coraz więcej projektów robicie w Warszawie i dla Warszawy. Czy te działania bardzo różnią się od poprzednich? Czy w dużym mieście jest łatwiej?

W Warszawie bardzo dużo się dzieje. Ludzie są mało skupieni. Wydaje im się, to przede wszystkim dotyczy młodych ludzi, że mogą wszystko. Jest mnóstwo możliwości, mogą to i tamto... Dopiero w momencie wkraczania w dorosłość schylają trochę głowy i dostrzegają, że trzeba się raczej wsłuchać w rytm świata. Najwyraźniejszy jest dla mnie ten brak skupienia. Człowiek wielu rzeczy może spróbować i to go na pewno rozwija, ale nie ma duchowości. Uważam, że do takiej duchowości potrzebne jest nudzenie się. W Warszawie nie ma czasu na nudzenie się. Dlatego staramy się zabierać gdzieś młodzież z Warszawy. Tak zrobiliśmy z grupą warsztatowiczów ze Szkoły Wajdy. Pojechaliliśmy do Szamocina na kilkudniową sesję montażową, żeby na chwilę się zatrzymać, skoncentrować, wsłuchać się w siebie i spokojnie porozmyślać.

Dzieci z małych miejscowości do Warszawy, dzieci z Warszawy do małych miejscowości...

No tak, to jest właśnie to spotkanie potencjałów, o którym opowiadałam. Wymiana doświadczeń i energii. Co więcej – to naprawdę działa!

Rozmawiała: Paulina Capała

„A w naszym Przedszkolu...” czyli nowość z Empiku

„Ulegając własnej przekornej naturze i pragnąc odróżnić się od koleżanek i kolegów z głównego terytorium Wyspy recenzujących” wyłącznie nowości „my ludzie z Cypla postanowiliśmy zająć się” pozycjami, których w (...) w księgarni, ani Empiku nie

uświadczysz (...) i których zdobyć stawia przed Tobą nie lada wyzwanie, drogi Czytelniku” – napisałam w trzecim numerze Cypla i podtrzymuję tę deklarację. Tyle tylko, że tym razem mamy do czynienia z pozycją stosunkowo nową

(prezentowane na DVD etudy powstały w ubiegłym roku), a wspomniane powyżej wyzwania i trudy w żaden sposób nie dotyczą Ciebie, bowiem płytka, o której będzie mowa dołączona została do numeru „Wyspy”, którą właśnie trzymasz w ręku.



Dziś, zgodnie z animacyjnym duchem, który zapanował nad skrawkiem naszego wyspiarskiego ładu prezentujemy etudy zrealizowane w ramach „Przedszkola Filmowego” – wspólnego projektu Mistrzowskiej Szkoły Reżyserii Filmowej oraz Towarzystwa Inicjatyw Twórczych ę.

„Przedszkole Filmowe” wymyślił kilka lat temu Andrzej Wajda, – wspomina Piotr Stasik – „bo dla niego zawsze było ważne to, żeby wychowywać najmłodsze pokolenie. W szkole były wówczas wyłącznie osoby, które skończyły jakieś studia, na przykład filmo-

we, a on chciał, żeby było w niej miejsce także dla młodych. Myślę, że to się wzięło przede wszystkim z Jego ciekawości, z tego, że chciał wiedzieć co się dzieje wśród młodych. Jednocześnie wiedział, że może im to dużo dać. Przedszkole na samym początku było fabularne. Prow-

adził je głównie Wajda, Marczewski i Łoziński. W którymś momencie ta formuła się wyczerpała. Ponieważ ja i Maciej Cuske [reżyser, absolwent Szkoły Wajdy] mieliśmy już doświadczenie w prowadzeniu warsztatów i zbiegło się to z momentem, kiedy razem z Marcinem Sauterem i Thierryem Paladino założyliśmy zespół filmowy, pojawił się pomysł, żebyśmy to my poprowadzili Przedszkole Filmowe.

Wszyscy jesteśmy dokumentalistami i uznaliśmy, że w takim razie zrobimy dokumentalny kurs. Wynikało to przede wszystkim z naszych wcześniejszych doświadczeń. Warsztaty prowadzone przy pomocy filmu dokumentalnego sprawiają, że łatwiej jest się czegoś nauczyć i łatwiej jest osiągnąć dobry efekt. Nie trzeba zatrudniać drogiego aktora, budować scenografii... Trudniej jest coś osiągnąć w filmie fabularnym. Później wychodzą kiczowate etiudki, których

nikt nie chce oglądać. Przy filmie dokumentalnym dotykamy prawdziwych uczuć: wzruszeń, niewypowiedzianych emocji. Dlatego łatwiej zainteresować widza. Nie znaczy wcale, że takie filmy są mniej głębokie. Dokument to materia, w której łatwiej dojść do refleksji co jest istotą filmu, po co robimy filmy, jak się je robi. Tak to się właśnie zaczęło...

A czym się zakończyła IV z kolei i pierwsza prowadzona przez Zespół Paladino edycja „Przedszkola” możesz się przekonać sięgając po płytke. Znajdziesz na niej siedem etiud dokumentalnych: „Pół ozorka i cały szpinak” reż. Zosia Chylak i Ula Sławiec, „Miejski środek komunikacji” reż. Iwo Kondefer, Krzysztof Werner, „Sobota” reż. Romek Kawenczyński, „Socjalista” reż. Michał Bielawski, „Stadion Narodowy” reż. Basia Żuchowska, „Kiosk” Maciej Bia-

Organizator:

Towarzystwo Inicjatyw
Twórczych „ę” oraz
Mistrzowska Szkoła Reżyserii
Filmowej Andrzeja Wajdy

Partner projektu:

Muzeum Powstania
Warszawskiego – www.1944.pl

IV edycję Przedszkola Filmowe
sfinansowano ze środków
Polskiego Instytutu Sztuki
Filmowej

łoruski, „Tysiące pięknych kobiet...”
reż. Anastazja Kądziała.

Kurs przeznaczony jest dla gimnazjalistów, licealistów i studentów. Łatwo więc obliczyć, że autorzy – „Przedszkolacy” mają od trzynastu do dwudziestu paru lat. Warsztaty dla nich prowadzili m. in. Andrzej Wajda, Marcel Łoziński i Maciej Drygas.

Obecnie trwa V edycja.

Paulina Capała
Dorota Suwalska



Farbiarnia podwórko z marzeniami

Bohaterka: Beata Jaszczak

Skończyła Instytut Pedagogiki Artystycznej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Obecnie studentka podyplomowych studiów kuratorskich w zakresie sztuki współczesnej na wydziale historii sztuki UJ w Krakowie.

Pracuje w Płockim Ośrodku Kultury i Sztuki (POKIS) od 2000 r. (wcześniej Wojewódzki Dom Kultury w Płocku). Realizuje autorskie projekty artystyczne i prospołeczne m. in.: Akcja i festiwal „Podwórko”, projekt „Oto Ja” (działania w obszarze sztuki naiwnej, osobnej, odrzuconej i art brut). Założyła Stowarzyszenie Edukacyjno – Artystyczne „Oto Ja” (2006 r.) oraz Galerię sztuki naiwnej i art brut w Płocku (2007 r. Inicjatorka działań podwórkowych przy Tumskiej 9 w Płocku.

Czas i miejsce akcji:

Superszybkie połączenie internetowe na linii Płock-Warszawa

Zakładając pracownię plastyczną „Farbiarnia” w Płockim Ośrodku Kultury i Sztuki chciała stworzyć miejsce, w którym młodzi ludzie zainteresowani sztuką współczesną będą mogli rozwijać swoje pasje. Czy podejrzewałaś wtedy, że staniesz się lokalnym animatorem kultury?

Zakładając pracownię w 1995 r. myślałam głównie o młodzieży, licealistach, studentach, o programie edukacji artystycznej dla tej grupy. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że wkrótce zajmować się będę projektem prospołecznym adresowanym do lokalnej społeczności. To było konsekwencją znajdowania się w tym,

a nie innym miejscu. Po prostu dostrzegłam sąsiadów.

Farbiarnia była pracownią plastyczną, potem pracownią sztuk wizualnych w ogóle, w końcu przekształciła się w świetlicę dla młodych ludzi i miejsce, gdzie zaczęły rodzić się projekty społeczne. Jak do tego doszło?

Pracownia ewoluowała, tak jak moje myślenie o edukacji artystycznej. Nigdy nie była „typową” pracownią plastyczną, bardziej niż o szkolenie warsztatu chodziło tu o nauczanie młodych ludzi języka sztuki współczesnej, wskazanie sfer, po których się aktualna sztuka porusza. A gdy



odbywały się w niej czasem zajęcia z tradycyjnych technik, jak malarstwo i rysunek, to interesujące było dla mnie łączenie różnych grup społecznych, np. subkultury graficiarskiej z młodzieżą z liceum plastycznego albo z seniorami przychodzącymi na konsultacje. Chodziło mi o zderzanie w Farbiarni różnych postaw nie tylko twórczych, ale i życiowych. Także dołączenie do tej mieszanki jeszcze grupy dzieciaków z okolicznych podwórek nie było przypadkowym zda-



rzeniem, tylko konsekwencją takiej otwartej polityki miejsca.

Skąd pomysł na akcję „Podwórko” i na czym ona polega?

Zainspirowały mnie m.in. działania animacyjne Zosi Bisiak związane z architekturą krajobrazu. Robiła cykl spotkań i warsztatów pt. „Poetyczki z architekturą”. Szukałam też nowych rozwiązań w pracy instruktora, nowego sposobu na funkcjonowanie placówki kultury i tak dostrzegłam sąsiadów, z którymi łączy nas podwórko. Zrozumiałam, że należy podjąć działania edukacyjne i animacyjne skierowane właśnie do nich. Tym bardziej, że dzieciaki z podwórka od zawsze kręciły się przy pracowni, zwyczajnie były ciekawe, co się tu dzieje. Z początku psociły, potem zaczęły pomagać. Akcja „Podwórko” skierowana jest głównie do nich – do dzieciaków z podwórek płockiej starówki. Polega na organizacji dla nich warsztatów: teatralnych, plastycznych, filmowych, fotograficznych, kulinarnych, break dance, poezji chodnikowej i innych. Od 2003 r. organizujemy też latem festiwal podwórkowy, na którym oprócz warsztatów odbywają się prezentacje teatralne, filmowe oraz koncerty na podwórkach, do tego Galeria Podwórkowa – to malowanie na ścianach kamienic prac przez zaproszone grupy artystów.

Zaczęło się od malowania bram i sadzenia kwiatków. Potem był



regulamin podwórkowy... Co dla dzieci było ważne, o czym pisały w regulaminie?

Regulamin powstał z inicjatywy dzieci. Pomysłodawcą był Albert – przywódca grupy podwórkowej. To on był motorem większości działań. Regulamin był napisany przez dzieciaki spontanicznie, rozwieszały go potem na ścianach kamienicy, na drzwiach stajenek i na kłatkach schodowych. Jednym z punktów było obwieszczenie nowych godzin ciszy nocnej, w innych upraszały o szanowanie pracowników domu kultury, o podlewanie kwiatów na podwórku i o nie sikanie w bramie.

Powstała jeszcze Księga Marzeń. W jaki sposób zbieraliście marzenia? Czyje to były marzenia? Co

się z nimi stało? Czy część z nich spełniła się?

Pomysł książeczek z marzeniami podwórkowymi zrodził się na samym początku akcji.

Albert zrobił książeczki z białego papieru oprawionego w szarą tekturę i związane sznurkiem; poroznosił je po sąsiednich podwórkach, prosząc dzieciaki o szczerze wpisy. Po paru dniach wrócił po książeczki, które zapisane były dziecięcymi marzeniami, czasem rysunkami, niektóre naprawdę wzruszały. Wszystkie odnosiły się do miejsca, w którym dzieciakom przyszło żyć, np. chcą by było więcej zwierząt na podwórku, plac zabaw, by ktoś zabrał niebieski samochód, więcej zieleni itp.

Postanowiliśmy pokazać te marzenia w salonie wystawowym



Płockiego Ośrodka Kultury i Sztuki, jakim był Dom Darmstadt. Nadrukowaliśmy teksty marzeń na koszulki i rozwiesiliśmy na sznurach jak pranie na podwórkach. Zaprośiliśmy na wystawę dzieciaki, które dostały koszulki ze swoimi wpisami.

Parę lat później powtórzyliśmy całą akcję na festiwalu podwórkowym podczas warsztatów poezji chodnikowej. Z tym, że teraz to dzieciaki przyszły do nas, czyli do pracowni Farbiarnia; układały teksty, potem wycinały z nich szablon, by w końcu nadrukować je na chodniki i ściany kamienic swoich podwórek oraz na przyniesio-

ne z domu koszulki. Wystawa tym razem krążyła po podwórkach, dzieciaki przносиły sznury z praniem jak własną małą procesję.

Marzenia te są dla nas inspiracją do dalszych działań animacyjnych i edukacyjnych z mieszkańcami podwórek. Skoro marzą o trawniku, placu zabaw, ławeczkach i piaskownicy, to trzeba im pokazać, jak mogą do tego doprowadzić same, nie czekając na to aż ktoś im to załatwi. I tak dzieciaki z Tumskiej 9 napisały projekt pt. „Gra w zielone” i dostały grant w wysokości 2000 zł na realizację swojego marzenia o huśtawce, drzewkach, basenie i grillu.

Warszawska Grupa Twożywo zaprojektowała billboard, pomalowaliście całą kamienicę. Co na to wszystko mieszkańcy podwórek? Jak reagowali dorośli?

Grupę Twożywo od kilku lat zapraszamy do malowania autorskich prac na ścianach płockich kamienic. Powstało już pięć murali z ich pracami. Malują sami na rusztowaniach, dzieciaki starają się im tylko nie przeszkadzać. Oprócz Twożywa malowali też: Galeria Rusz z Torunia, Adam X, Agata Groszek i Paweł Ryżko z Warszawy. Mieszkańcy coraz przyjaźniej patrzą na te „fanaberie”, chociaż po ostatnim festiwalu w 2007 r. gdy Twożywo namalowało pracę pt. „Wrony” było parę telefonów i listów do lokalnej gazety z uwagami, co do treści pracy. To znak, że mieszkańcy identyfikują się z miejscem, w którym żyją oraz że „czytają” treści podawanych im obrazów i jak najbardziej mają prawo się do nich w jakiś sposób odnieść.

Kiedy nastąpił przełom i dzieci przejęły inicjatywę? Powstał przecież podwórkowy teatr w stajence...

Od samego początku dzieciaki wykazywały dużą inicjatywę: tworzyły same teatr, założyły klub podwórkowy w stajence (to coś na kształt garażu czy też zachowanka na podwórku, przed wojną trzymano tam konie). Jedną z pustych stajenek udało nam się załatwić dla nich na klub jeszcze w 2003 r. Od tamtej pory dzieciaki identyfikują się z tym miejscem, dba-

ją o nie, mają tam swój azyl i miejsce do zabaw i spotkań. Ważną postacią, kreującą wydarzenia na podwórku Tumską 9, głównym dowodzącym w teatrze podwórkowym i we wszystkich innych działaniach był w tamtym czasie Albert Dyna, lider grupy. Każda grupa nieformalna musi mieć przywódcę, by działała sprawnie i sensownie. Albert był wyjątkowo twórczym i dynamicznym liderem, brat trójki młodszego rodzeństwa, brał odpowiedzialność nie tylko za nich, ale także za wszystkie inne dzieciaki z podwórka. Albert dorósł, dziś jest studentem i teraz grupa musi wyłonić nowego przywódcę aby znów działać równie kreatywnie.

W 2003 roku w konkursie „Małe ojczyzny – tradycja dla przyszłości” za swoją działalność odebraliście prestiżową nagrodę specjalną Fundacji Kultury, po raz pierwszy przyznaną dzieciom, czy nagroda Wam w czymś pomogła?

Nagroda dla „Grupy Podwórkowej Tumską 9” była wielkim wyróżnieniem dla dzieciaków. Przyjęły ją z dumą i wzruszeniem, do tego większość z nich po raz pierwszy była w Warszawie. Przed wyjazdem po odbiór nagrody zrobiliśmy zebranie w Farbiarni, zaprosiliśmy rodziców i przedstawiliśmy im całą sytuację. Chcieliśmy by nagroda (4000 zł) była sensownie przez dzieci skonsumowana, by spełniły swoje marzenia, ale też by była inwestycją w ich przyszłość. Wszyscy podeszli do sprawy bardzo poważnie.



Postanowiliśmy za pieniądze z nagrody kupić dzieciakom książki (m. in. encyklopedie) i gry edukacyjne, zorganizować wycieczkę do Warszawy i wykupić lekcje nauki języka angielskiego dla całej grupy (odbywały się w Farbiarni regularnie dwa razy w tygodniu przez niemal pół roku). Udało się też zakupić parę drzewek i kwiatów i posadzić na podwórku. Najmilej dzieci wspominały jednak wycieczkę do Warszawy; byli w Zachęcie na wystawie „Artyści dzieciom”, na Starówce, w Łazienkach i w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, no i oczywiście na pizzy.

Farbiarnia obudziła w dzieciakach chęć do działania, otworzyła w pewnym sensie drzwi do innego świata, zachęciła do rozwijania nowych pasji i doświadczania zupełnie nowych rzeczy (fotografia, breakdance, teatr). Czego dzieci nauczyły Ciebie? Czy to Wasze spotkanie zmieniło także Ciebie?

Na pewno mnie zmieniło i zmienia cały czas, uczymy się od siebie nawzajem.

Z wielką przyjemnością obserwuję ich umiejętność zabawy przysłowiowym kijem na podwórku, niewiele dzieci obecnie ten dar posiada, oni tak. Do tego cieszą się każdą chwilą, więc gdy mam ciężki dzień w pracy, to wychodzę na podwórko do dzieci i gram z nimi w klasy albo skaczę na skakance. To pomaga, bo ich radość zaraża.

W zeszłym roku siedziba Farbiarni została zniszczona przez powódź. Czy to koniec działań? Jakie są Wasze plany na przyszłość?

Na szczęście pracownia nie została zniszczona doszczętnie, ciągle w niej działamy, ale potrzebny jest remont. Farbiarnia to magiczne miejsce, ale najważniejsi są ludzie. Ważne jest też, by zachować ideę otwartości na otaczający świat. A w planach mamy kolejny festiwal podwórkowy, już w sierpniu tego roku.

Rozmawiała: Paulina Capała

Zdjęcia dzieci wykonane podczas warsztatów fotograficznych organizowanych przez Farbiarnię

Ulic reAnimacja

Animatorzy kultury,

przed wojną nazywani przewodnikami kultury, w czasach PRL-u „kaowcami”, bez względu na okres historyczny i wagę wykonywanych funkcji odgrywali istotną rolę w inicjowaniu działań ożywiających miejsca, w których przyszło im mieszkać i które były dla nich ważne. Bardzo wyraźnie widać to dzisiaj. Smolna, Żąbkowska, Próźna czy Hoża – warszawskie ulice, które grają główne role w „Żłym” Tyrmanda, opowiadaniach Wiecha, w mitach i legendach miejskich stają się zarazem inspiracją jak i areną działań „domorosłych” i zawodowych animatorów kultury.



foto: Jack Barcz



foto: Aneta Kaprzyk

Smolnej zajrzeć będzie można na jarmark staroci, czy posłuchać wspomnień najstarszych mieszkańców kamienic. Bo wiem wartością nie do przecenienia tego typu projektów jest stworzenie przestrzeni do międzypokoleniowych spotkań.

Niektórzy z lokatorów to osoby zawodowo trudniące się którąś z dziedzin sztuki, np. pisanie tekstów piosenek, czy fotografią w przypadku Tomasza Sikory. Inni to amatorzy w dziedzinie kultury. Nie przeszkadza to jednak, by święto swej ulicy obchodzili, a co najważniejsze współorganizowali wszyscy mieszkańcy.

„Ulica Próźna 2008”

Przed wojną w Warszawie mieszkało 370 tys. Żydów. Kilka zachowanych na ulicy Próźnej kamienic to ostatni fragment ocalały po dzielnicy żydowskiej.

Festiwal „Warszawa Singera” oraz realizowany w jego ramach projekt

Smolna

„Jestem ładna” – pomyślała Marta Majewska, ujrawszy się w lustrze. Apteka miała stare, wypełnione meblową politurą wnętrza (...). W „Żłym” Tyrmanda, powieści, w której Warszawa jest główną bohaterką, akcja rozpoczyna się w aptece na ulicy Książęcej. Apteki w tym miejscu już nie ma, meble jednak przetrwały – przeniesione do innej apteki na Nowym Świecie, róg Smolnej.

Na Smolnej właśnie, rzecz można, „uświęconej” ową „historyczną” apteką, „pamiętającą” również siedzibę niegdyśszego szpitala rosyjskiego Czerwonego Krzyża, odbędzie się festiwal zorganizowany przez jedną z najprężniej działających wspólnot mieszkaniowych. Bez pomocy ze strony miasta mieszkańcy pragną zamienić podwórkowe przestrzenie w galerie fotograficzne, sceny kabaretowe i muzyczne. Na festiwalu ulicy

„Ulica Próżna” obejmuje jedyny ocalały po Holokauście żydowski fragment miasta. Zamierzeniem projektu jest, jak piszą organizatorzy, „pokazanie różnorodnych aspektów wspólnego dyskursu sztuki o Holokauście i polsko – żydowskiej historii”. Uczestnikami projektu są artyści, którzy mimo różnic pokoleniowych i odrębnych środków ekspresji wydobywają z estetyki ruin, pustych sklepów, wnętrz i mieszkań, podupadłych fasad żywy głos części nowego pokolenia, które będąc świadome obciążenia historycznego, nie wypiera owego świadectwa w niepamięć.

Ulica Próżna na czas festiwalu odzyskuje swój przedwojenny charakter. Puste przestrzenie kamienic zaanektowane zostaną na winiarnie, piekarnie, księgarnie, uliczne stragany czy żydowskie restauracje.

Zaangażowani do projektu aktorzy Teatru Żydowskiego stworzą barwne odwzorowanie galerii postaci

z tamtych lat. Pojawią się żydowskie kwiaciarki, uliczni handlarze, gazeciarki i całe żydowskie rodziny.

Ząbkowska

Malarstwo sztalugowe, graffiti, koncerty dla dzieci i dorosłych, parady uliczne i spektakle to paleta ofert kulturalnych festiwalu ulicy, która ostatnio najściślej z Pragą Północ jest kojarzona. Praga Północ już od dłuższego czasu poddawana jest rewitalizacji. Jest zarazem jedną z niewielu warszawskich dzielnic, w których ostała się żywa, niezmienniona tkanka miejska. Kamienice przełomu XIX, XX wieku, warsztaty usługowo – rzemieślnicze, podwórkowe kapliczki i stary uliczny bruk stanowią o historycznych wartościach tej dzielnicy. Podniszczone i nie remontowane, nie

stanowiły do niedawna atrakcji dla ani zwiedzających, ani dla samych mieszkańców. Teraz zaczyna się to zmieniać.

Ożywienie ulicy Ząbkowskiej jest jednym z pomysłów splecenia teraźniejszości z przeszłością, przypomnienia czy wręcz nadania tożsamości miejscom, które w drodze zniszczenia utraciły, podobnie jak zamieszkując ją ludzie.

Alicja Kowalewska

*Zdjęcia z Festiwalu „Warszawa Singera”
www.festiwalwarszawa.pl*

fol. Aneta Kaprzyk



fol. Aneta Kaprzyk



fol. Jacek Barcz



Bez przyszłości?



Na zdjęciu: Inga Pytka-Sobutka, fot. Beata Zarzycka

Bohaterka: Inga Pytka-Sobutka

Magister Politechniki Radomskiej, dyplom z zakresu Finanse i Gospodarka Komunalna, inicjatorka działań nieformalnej grupy młodzieżowej „Młodzi, piękni – bez przyszłości?“, prezes Towarzystwa Aktywnych Kulturalnie „Projektoriat“, lokalna animatorka, właścicielka firmy fotograficzno-filmowej.

Czas i miejsce akcji:

Szydłowiec. Warszawa.
Szydłowiec.

Zakładasz właśnie swoje stowarzyszenie – Towarzystwo Aktywnych Kulturalnie „Projektoriat“.
W Szydłowcu działasz od dawna. Pamiętasz od czego się zaczęło?
Zaczęło się od przyjazdu Towarzystwa Inicjatyw Twórczych „e“ do Szydłowca. Realizowali projekt „Ballada o Szydłowcu“. Na zajęciach znalazłam się dlatego, że w ogłoszeniu oprócz tego, że zachęcali do udziału ludzi z pasją fotografowania, pisanie, filmowanie,

itp., nie pominęli osób, które wcale tego nie robią, a chciałyby spróbować. Poszłam na spotkanie, spróbowałam. Otworzyły mi się oczy trochę szerzej. Dostrzegłam narzędzia, które tak naprawdę były w zasięgu ręki.

Zawsze ciągnęło mnie do tego, żeby coś organizować, działać. Nigdy jednak nie znalazłam poparcia, zewnętrznej motywacji, choćby od nauczycieli. Już w podstawówce byłam prowodyrem różnych działań i zda-

rzeń – nie zawsze mądrych, ale chciałam, żeby się coś działo. Pamiętam, jak razem z panią pedagog i kilkoma znajomymi ze szkoły zorganizowałam sprzedaż walentynkowych gadżetów (wykonanych przez uczniów), na rzecz chorego chłopca. W liceum chciałam wydawać gazetkę, ale skończyło się to tak, że robiłam wszystko ręcznie – łącznie z pisanie. Pomysł nie zainteresował nauczycieli. Znikąd pomocy. Wspominam do dziś podwórkowe „Mini listy przebojów“, na które zapraszaliśmy naszych rodziców... Wtedy jeszcze nikt nie słyszał o „animacji kultury“.

Wyjeżdżałaś zagranicę, pracowałaś w Warszawie. Wróciłaś



do Szydłowca, żeby realizować projekty kulturalno-społeczne. Dlaczego?

Wszędzie tam, gdzie się wybrałam było ciekawie. Szczególnie ciepło wspominam Edynburg, gdzie oprócz pracy zarobkowej, zajęłam się także wolontariatem. Robiłam fotoreportaże z działalności programu dla obcokrajowców „The Welcoming”. To było fantastyczne doświadczenie. Zawsze jednak ciągnęło mnie do Szydłowca. Raz z tęsknoty (niewytłumaczalnej), dwa z myśli, że ciągle jest tu dużo do zrobienia. Czułam, że teraz ja, tak jak kiedyś „ę”, mogę pokazać dzieciakom, że jeśli tylko chcą to też mogą fotografować albo pisać; że ich zdjęcia mogą zawisnąć na wystawie, a teksty mogą być umieszczone w gazecie.

Do naszej siedziby ciągle przychodzą dzieciaki, bo im się po prostu nudzi. Żal mi, że nie mogę prowadzić z nimi zajęć w tej chwili. Jak długo można pracować tak zupełnie społecznie? Muszę zacząć myśleć o sobie i o moim dzidziusiu, który niedługo przyjdzie na świat. Zgłaszałam w Centrum Kultury, że się tymi maluchami z bloków trzeba zająć. Większego zainteresowania to nie wzbudziło.

Pamiętasz pierwszy samodzielnie zrealizowany projekt? Na czym polegał?

To była „Fotograficzna ballada o bezrobociu w Szydłowcu”. Wiedzieliśmy, że chcemy zrobić projekt foto-

for. Inga Pytko-Sobutka





graficzny, ale nie mieliśmy pomysłu. W końcu stwierdziliśmy, że trzeba opowiedzieć o czymś, co dotyczy nas bezpośrednio. Długo tematu nie trzeba było szukać. Zdjęcia były rewelacyjne. Wszystkie zrobione analogowo. Czarno-białe, co potęgowało wrażenie naszej smutnej rzeczywistości. Równolegle zorganizowaliśmy wystawę „Szydłowiecki pejzaż”, bo piękne zdjęcia miejsca, w którym mieszkamy, też powstawały, więc szkoda było je zamknąć w szufladzie.

W swoich działaniach wykorzystujesz przede wszystkim film i fotografię, dlaczego?

Bo to lubię. Nie mogłabym przecież organizować warsztatów foto i film, gdybym tego nie lubiła. Sama się przy okazji dużo uczę. Tak jest też z innymi pomysłami, np. z warsztatami dziennikarskimi. Raz, że nie ma takich zajęć w Szydłowcu, dwa, że przy okazji sama chciałam się dowiedzieć paru rzeczy o pisaniu, redagowaniu itd.

W 2007 roku stworzyliście „Tele Wizję na przyszłość” w ramach grantu „Równać szanse”. Produkowaliście własne programy telewizyjne, uczyliście się dziennikarstwa, podstaw sztuki dokumentu filmowego...

Całkiem nieźle nam to wyszło. Najbardziej jestem zadowolona z filmu „Szydłowiec to...”, który powstał w ramach tego projektu. Dzieciaki chodziły z mikrofonem i kamerą. Zaczęły mieszkanców, pytając czym dla nich jest Szydłowiec, jakie są ich marzenia, co lubią a czego nie lubią w naszym mieście. Później przy montażu, głos z wywiadu podłożyliśmy pod obraz, gdzie rozmówca patrzył prosto w kamerę. Powstał ciekawy efekt. Projekt nastawiony był na promocję działań młodzieży w mieście. Powstały programy telewizyjne, m. in. reportaż o młodym astronomie z wioski pod Szydłowcem, artykuły prasowe, np. o streetridersach, którzy mają chęci, ale dorośli jakoś nie

chcą im pomóc. Chcieliśmy pokazać, że w młodych ludziach tkwi potencjał, że jest mnóstwo dzieciaków, które chcą „coś” robić, trzeba tylko wyciągnąć do nich dłonie. Dorosłą dłoń.

Nazwaliście się wtedy nieformalną grupą młodzieżową „Młodzi, piękni i bez przyszłości?” – skąd taka nazwa? Kogo pytacie o swoją przyszłość? Dorosłych Szydłowian, czy samych siebie?

Któregoś dnia podczas pleneru fotograficznego popatrzyłam na nas i palnęłam: „młodzi, piękni i bez przyszłości!!!!”. Przyjęło się. Dodałmy jeszcze tylko „?” na końcu, żeby pozostawić sobie nadzieję. Kogo pytamy? Pytamy siebie. Pytamy dorosłych. Niektórzy z nas wybrali drogę emigracji po tę swoją przyszłość. Bo Szydłowiec wciąż ma za mało do zaoferowania młodym ludziom.

Jak mieszkańcy reagują na to, co robicie?

W Szydłowcu tak naprawdę sporo się dzieje. Są imprezy organizowane przez Szydłowieckie Centrum Kultury, czy Urząd Miasta. To są głównie imprezy masowe. Zresztą z powtarzającym się co roku scenariuszem. My oferujemy coś innego. Zanim zorganizujemy imprezę, przeprowadzamy warsztaty dla dzieciaków. Dzięki nam mogą próbować robić zdjęcia, czy potrzytać kamerę. Na wystawy, czy happeningi, przychodzą stali bywalcy, uczestnicy warsztatów i ich rodzice. Ciężko w to, co robimy wciąż



gnąć ludzi zupełnie z zewnątrz. Zapraszamy i cierpliwie czekamy. Czasami się udaje...

Były momenty zwątpienia?

Pewnie, że były. Bolało mnie, kiedy Ci „doroślejsi” ode mnie nie widzieli problemów. Nie chcieli pomóc. Teraz to się zmienia. Wyrobiliśmy sobie – dzięki naszej pracy i wytrwałości, markę. Nikt nie zorganizował nam warsztatów. Nikt nie wyciągnął ręki. Rola dorosłych sprowadzała się do tego, że nam nie przeszkadzali. Oczywiście Centrum Kultury udostępniło nam miejsce i udostępnia sale na wystawy, ale to wszystko. Jedyne dorosłe, który z nami ciągle był, na którego zawsze można liczyć to Wiesiek Wismont – mój fotograf.

Jakie przeszkody napotykaś? Co sprawia Ci największe trudności?

Czasem trudno jest zmobilizować ludzi do pracy. Rzucam jakiś pomysł i jest różnie. Muszę napędzać tę machinę, inaczej nie rusza. Trochę mnie to wkurza. Bo niby wszyscy chcą działać, ale jak nie skrzyknę spotkania, działania, happeningu, wystawy, wycieczki czy czegośkolwiek, to tego nie ma. Szkoda.

Co dla lokalnego animatora jest największym sukcesem? Z czego jesteś najbardziej dumna?

Cieszę się, kiedy zaczepiają mnie dzieciaki, przypominając o tym, że parę lat temu robiliśmy coś wspólnie. To, że Marlena i Olga wybierają się na studia dziennikarskie, że Wojtek jest na pierwszym roku fotografii,

że Damian jest uczestnikiem Przed-szkola Filmowego w Szkole Andrzeja Wajdy, że Igor koordynował swój pierwszy w życiu projekt, że widzę czasem w lokalnej prasie artykuły Zużki, że sporo osób hobbistycznie fotografuje. Myślę, że to wystarczające powody do satysfakcji.

W jednym z projektów fotograficznych pytałeś mieszkańców Szydłowca o marzenia. Jak jest Twoje największe marzenie?

W tej chwili najbardziej chciałabym, żeby moje dziecko było zdrowe, szczęśliwe. Żeby miało mądrą mamę. Żeby mogło realizować swoje pasje, nawet w takim małym mieście, jak Szydłowiec. Wierzę, że to jest możliwe!

Rozmawiała: Paulina Capała

Grelowisko to ja

Mirosław Greluk. Rocznik 1966. Na pozór zwykły facet, a jednak artysta i to niezwykle. O sobie mówi, że jest pierwszym i jedynym artystą, który stworzył imprezę autorską i edukuje ludzi kulturalnie.



Grelowisko.

Nazwa wzięta oczywiście od jego nazwiska. Grelowisko to największa w okolicach Siedlec impreza artystyczno-towarzysko-charytatywna organizowana nie cyklicznie, ale sporadycznie. Grelowiska – rozsławiają siedlecczyznę kilka razy w roku od przeszło dziesięciu lat. Mają trzy cele. Po pierwsze: zbliżenie ludzi do ludzi, czyli integracja ludzi świata biznesu w szczególności, ale także środowisk nauki, mediów oraz władz samorządowych i ludzi polityki. Po drugie: promowanie rodzimych artystów i rodzimej sztuki. Wreszcie po trzecie: wspieranie instytucji potrzebujących pomocy, a w szczególności specjalnych ośrodków szkolno-wychowawczych z regionu byłego województwa siedleckiego.

— *Pierwsze Grelowisko zrobiłem w 1997 roku – wspomina Mirek. – Zaczęło się od wystawy fotograficznej, bo nie można odrzucić tego, że jestem artystą i że poprzez Grelowiska promuję siebie i swoją sztukę, ale... promowanie siebie nie wyklucza innych działań. Jednocześnie środowisk biznesowych zaowocowało tym, że ludzie, którzy na co dzień zajmują się robieniem pieniędzy i ich liczeniem zainteresowali się sztuką. Nie ma w okolicy Siedlec biznesmena, do którego bym nie dotarł, który nie wsparłby finansowo tego co robię i który... nie miałby na ścianie choć jednego mojego obrazu zakupionego na charytatywnej aukcji. I to po cenie o wiele wyższej niż gdyby kupował tak normalnie. Dla wielu z tych ludzi to pierwszy obraz w życiu. Dzięki mnie dowiadują się, że sztuka jest potrzebna, że może*

sprawić przyjemność patrzenie na nią i obcowanie z nią. Dzięki Grelowiskom odkrywają, że przyjemne jest również pomaganie innym. Jednym słowem, że... nie samym chlebem żyje człowiek.

Grelowiska są realizowane w największych miastach byłego województwa Siedleckiego. Poza samymi Siedlcami w Łukowie, Węgrowie, Międzyrzecu Podlaskim a także w kompleksach pałacowo-dworkowych w Chlewiśkach i Sinołęczce.

Grelowisko to wystawa, aukcja na rzecz jakiejś placówki szkolno-wychowawczej, koncerty, występy, spotkania z artystami (pisarzami, aktorami, malarzami), a także konkursy dla dzieci.

— *W tym pierwszym roku zrobiłem pięć Grelowisk – mówi Mirek i łapie się za głowę. – Jak ja to zrobiłem? Nie wiem. Ale kto u nas nie występował! Jakbym miał wymienić to na pewno bym kogoś zapomniał. Grelowiska spodobały się do tego stopnia, że poproszono mnie, bym w tej konwencji zorganizował Galę Podlaskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, regionalną Galę Bussi-*





nes Centre Club Łoży Siedleckiej, a także aukcje obrazów na rzecz fundacji Jolanty Kwaśniewskiej „Porozumienie bez barier” w Pałacu Prymasowskim w Warszawie.

Każde zaproszenie na Grelowisko to... książeczka. To dzięki niej można poznać nazwiska wszystkich artystów, którzy kiedykolwiek gościli na imprezach. Jest ich ponad setka. Między innymi Ewa Bem i Andrzej Jagodziński, Małgorzata Foremniak, Piotr Siwkiewicz, Janusz Laskowski, Kabaret Ani Mru Mru, Piotr Woźniak i Tomasz Lewandowski z Piwnicy pod Baranami, Marek Kościukiewicz i Tomek Makowiecki, a także artyści z Teatru Roma. Wszystkie imprezy od samego początku prowadzi Artur Orzech. Na Grelowiskach, których dru-

gim celem jest przecież promocja rodzimych artystów nie może zabraknąć tych ostatnich.



Mało kto wie, że to z Siedlec wywodzą się najsłynniejsze polskie zespoły taneczne zbierające laury za granicą – m.in. teatr Tańca LUZ i CARO DANCE.

– Mamy utalentowanych artystów poetów – mówi Mirek Greluk. – Dlatego dzięki Grelowiskom fundowane były zbiorki poetyckie. Było też stypendium dla dziewczyny z Idola. Promowaliśmy też książki o księżnej Ogińskiej – tej, która budowała Siedlce.

Jednak lista artystów biorących udział w Grelowiskach nie jest tak długa jak lista tych, którzy dzięki imprezom otrzymali wsparcie. Wystarczy uświadomić sobie, że na terenie byłego województwa siedleckiego nie ma ośrodka szkolno-wychowawczego, który by choć raz nie skorzystał z dobrodziejstwa jakie daje impreza. Grelowiska wspierają nawet festiwal, którego inicjatorem jest też Mirek Greluk. To siedlecki „Dzień Radości” – impreza przeznaczona dla dzieci. Na pierwszym „Dniu Radości” w 2004 roku dzieci ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego z Siedlec i Jaworka wręczyły Mirosławowi Grelukowi „Order Uśmiechu”. To nie jedyne jego odznaczenie,

ale... najcenniejsze. Wręczone przez przedstawicieli tych, którym Grelowiska dają najwięcej. Cóż... to dzięki Grelowiskom przeprowadzane są remonty placówek szkolno-wychowawczych. Wymieniane są okna, naprawiane dachy, wyposażane pracownie komputerowe, świetlice itp. Dzięki Grelowiskom spotykają się one ze sztuką i dowiadują się, że same mogą ją tworzyć.

– Nie mam rodziny. Nie mam też bogactwa – mówi Mirek. – Żyję bardzo skromnie. Stary samochód, kilka niezbędnych do życia przedmiotów i to wszystko. Bo zarobione pieniądze pakuję w kolejne Grelowisko lub kolejny pomysł. Na przykład na początku tego roku zorganizowałem w Siedlcach galę kick-boxingu. To było wyzwanie, ale dałem radę! Przecież sport to czasem też rodzaj sztuki.

Teraz też rozsypie się worek z Grelowiskami. W końcu wreszcie jest ciepło.

Małgorzata Karolina Piekarska

Zdjęcia ze strony:

www.greluk.siedlce.net.pl